

„Kandyd” Woltera, czyli brawa dla Wojtyzki

Filozoficzne powiastki Woltera, do jakich zalicza się „Kandyd”, z reguły zajmowały się ukazywaniem chaotyczności przyczyn i niedorzeczności ludzkich poczynań, pełne przy tym będąc bezlitosnej ironii.

Zdaniem autora — głupota, niesprawiedliwość, czy zbrodnia, wynikają z błędu w rozumowaniu — wystarczy ten błąd ukazać i ośmieszyć, aby ludzkość poprawić.

Ironia Woltera ma charakter niemal matematyczny, sprowadza

Tesa Ujazdowska

adaptacji i zarazem reżysera spektaklu, Macieja Wojtyzko, który prócz tego jest jeszcze autorem piosenek. Można zastosowanej przez niego konwencji nie lubić, trzeba mu natomiast przyznać ogromną inwencję inscenizacyjną. Wojtyzko poprowadził przedstawienie z rozmachem, warto i dowiec, piętrząc rozwiązania sytuacyjne jak w kalejdoskopie. Pierwsza część spektaklu,

doświadczenia. I jak wspaniale np. w Eldorado uzupełnia wolterowską ironię gorzka satyra Wojtyzki, jego czastuszkowe melodie, bure chustki, zastraszenie, nie mówiąc już o piosence, „Wyjechać z Eldorado”.

A karnawał w Wenecji z siedmioma królami na zielonej trawie, jakże aktualny, choć w zamierzeniu pierwotnym wyśmiewający odstawioną od żłobu ekipę Gierka. Świetna, a jednocześnie mądra zabawa, najwyższy stopień dobrego kabaretu.

Zespół aktorski dał z siebie wszystko, przekształcając się z jednej postaci w drugą, czasem nawet w przedmioty — z wdziękiem, zapałem, talentem. Cztery panie — Anna Kaźmierczak, Dorota Kwiatkowska, Zofia Walkiewicz i Dorota Zięciowska, oprócz umiejętności aktorskich prezentowały urodę i temperament.

Przyznam że najbardziej podobala mi się Dorota Zięciowska, wybijająca się nawet w tak dobrym zespole i wypełniająca choćby najdrobniejsze zadania artystyczną indywidualnością.

Bardzo ładnie zagrała Kune-gundę Dorota Kwiatkowska, obdarzona świetnymi warunkami zewnętrznymi, a Zofia Walkiewicz wyposażyła swoją Pakitę w nader dwuznaczne uroki.

Anna Kaźmierczak, która podbiła publiczność rolą Kamilii w „Zolnierzu Królowej Madagaskaru” tutaj dała się przyćmić koleżankom, choć jako Madame prezentowała bardzo ponętne wdzięki.

Z męskiej obsady najbardziej podobał mi się Tadeusz Chudecki, grający Kakambo. Jest to aktor-iskra, na moment nie wypadający z postaci, spalający się na scenie bez reszty, obdarzony talentem, świetnym głosem i rzeczą nader rzadką — mianowicie prostotą.

Bardzo dobry był Daniel Woźniak w roli Panglossa, a jeszcze lepszy jako Gubernator, zróżnicowany i odmienny.

Grzegorz Stachurski, wspaniały jako Żyd, stworzył małą perełkę z roli Starca w Eldorado, pyszny był Wojciech Piekarski, oraz Jacek Jezierzański, zwłaszcza w roli Marcina.

Tytułowa postać Kandyda pozostawiła mi niedosyt. Janusz Szydłowski gra swojego bohatera zbyt konwencjonalnie jak na mój gust i sama poprawność jest w tej roli niewystarczająca. Zabrakło mi tu czegoś więcej — aktorskiej indywidualności.

Muzyka Jerzego Derfla łatwo wpadająca w ucho, przyjemna, melodyjna. Kierownictwo muzyczne spoczywało w rękach Marii Drue i Anny Dąbrowskiej, zgrabnie włączonych w samo przedstawienie. Scenografia Tatiany Kwiatkowskiej — oszczędna i funkcjonalna.

„Kandyd” jest zadaniem ambitnym, z którego zespół Teatru Nowego wywiązał się znakomicie. Urszuli Świącickiej należy się uznanie za odwagę, ale największe brawa — dla Macieja Wojtyzko, twórcy o dużej przyszłości!



Jedna ze scen przedstawienia. Od lewej Anna Kaźmierczak, Zofia Walkiewicz, Dorota Kwiatkowska, Dorota Zięciowska, Janusz Szydłowski

nieznane elementy do znanych, oraz przeprowadza dowód za pomocą absurdu, może też dla tych matematycznych przyczyn budzi podziw dla swej błyskotliwości, ale nie angażuje odbiorcy emocjonalnie.

„Kandyd” w przeróbce scenicznej, wystawiony przez Teatr Nowy w POSK-u jest znakomitym przykładem nagromadzenia owych niedorzeczności działania i przypadkowych przyczyn, a kończy się również ironiczną pointą o uprawianiu własnego ogródka.

Przedstawienie stało się sukcesem przede wszystkim współautora

wolniejsza w tempie, uderzała właśnie owym chłodnym racjonalizmem wolterowskim i wzbudziła we mnie równie chłodne uznanie dla sprawności zespołu i reżysera. Natomiast część druga, w której Wojtyzko tak wspaniale potrafił w tekście wielkiego racjonalisty znaleźć wręcz bezpośrednie odniesienia do współczesności — wciąż widza, atakuje, nie pozostawiając miejsca na obojętność.

Rozegrana w świetnym tempie przeniósł nas z miejsca na miejsce, rzekomo odległe o tysiące kilometrów, a przecież znane nam z bardzo bliska, często z własnego